

Na zakończenie jeszcze jeden film, który z jakiegoś powodu uwielbiałem. „**Sprawa Kramerów**” to dramat sądowy z Dustinem Hoffmannem, historia ojca, który po odejściu żony samotnie zajmuje się matym synkiem (wtedy - moim rówieśnikiem) i musi walczyć o opiekę nad nim. Obecnie, jako ojciec, jestem w stanie spojrzeć na ten film z perspektywy. Wtedy po prostu uwielbiałem filmy z Dustinem. Do dzisiaj są dobre.

„**Konwój**” w pewien sposób korespondował z „**Złotem**”. Najbardziej amerykański z amerykańskich filmów ekscytował nas i był przez wiele dni głównym tematem rozmów w chłopców w moim przedszkolu. Potężne ciężarówki, niesmowici, nieomal dzicy męczyciel! i niezwykłe kobiety za kierownicami tych potworów i niezrównany humor. A także to, czego jako zbyt mali nie rozumieliśmy ale przezuczuliśmy żyjąc w czasach Stanu Wojennego - umiowanie wolności i spżeciw wobec władzy. Walka z glinazami? Wtedy? Szaleństwo!

Lista filmów z mojego dzieciństwa jest, oczywiście, dużo dłuższa. To tylko kilka pierwszych, ważnych, najwcześniejszych i najmocniej zapadających w pamięć. Tytuły, nazwiska, historie - przez następne 40 lat poznałem ich mnóstwo. Świetnych, dobrych, przeciętnych ale ulubionych.

Ale to te oglądałem, jako chłopiec.

Więcej darmowych ziów znajdziesz na:



www.gniazdoswiatow.net



Filmy i powieści o tematyce historycznej były wtedy dużo popularniejsze. „**Spartakus**” z Kirkiem Douglassem należał do tych głośniejszych obrazów, które przetrwały w pamięci widzów do dziś. Historia dzielnego przywódcy powstania gladiatorów była i w Polsce ceniona - mieliśmy nawet rodzimą kategorię przeliczając umysły i wyobraźnię, walki, bohaterstwa i patos. Czym lepiej, który stanął przeciwko Rzymowi była pełna powieść na ten temat. Opowieść o Traku, którego ceniona - mieliśmy nawet rodzimą kategorię przeliczając umysły i wyobraźnię, walki, bohaterstwa i patos. Czym lepiej, karmią się chłopi i umysły i wyobraźnię, nie takimi bohaterami właśnie?

„**Shogun**” to jedyny serial na tej liście, ale nie mogę go pominąć. Każdy z nas chciał być Anjin-sanem, bo chyba tylko jego chociaż trochę rozumieliśmy. Egzotywna, dzika, nie-rozumiała dla nas tak samo jak dla angielskiego pilota Japonia mieszkała w naszych głowach tygodni. Każdy odcinek, to był wydarzeń. Walki, ucieczki i szalony zwrot akcji! Były nawet lepsze chyba niż w przygodach kapitana Klossa!

„**Złoto dla zuchwałych**” było pierwszym zapamiętanym przede mną zachodnim filmem wojennym, tak odmiennym od „Czterech pancernych” czy „Stawki większej niż życie”. Przejmujące, dramatyczne, zabawne i ekscytujące. Dla mnie było pierwszym z całego szeregu filmów akcji, takich jak „Tyłko dla orłów” czy „Dziśka Nawarony”, z których gładko - i już w liceum - przesiadłem się na produkcję takie jak „Na zachodzie bez zmian”. To z 1979 roku, oczywiście.

Świat był wtedy inny. Za Żelazną Kurtyną lata 80. nie wyglądały tak, jak w „Stranger Things”. Kiedy byłem małym chłopcem - zanim poszedłem do szkoły - uciekać można było w słuchanie radia, czytanie książek - ale tego nauczyłem się dopiero mając 6 lat - albo w oglądanie filmów.

Filmy, inaczej niż teraz, to było wydarzenie. Wszyscy oglądali te same, bo były dwa kanały w telewizji i film w piątkowy wieczór to było coś, czego nikt nie chciał przegapić.

I chociaż leciało w telewizji mnóstwo okropnych rzeczy, jak radzieckie filmy dla drugiej zmiany w czwartkowe przedpołudnia czy propagandowe seriale jak „Cztery pancerni” czy „Stawka większa niż życie” (które i tak uwielbiał, bo każdy chciał być bohaterem i walczyć z nazistami), to trafiały się też rzeczy autentycznie dobre. Albo przynajmniej przyzwoite...

Na czarno-białym ekranie rozgrywały się przygody, które chłonałem.

„**Siedmiu hispanijczyków**” nie było pierwszym westernem, jaki widziałem, bo gatunek cieszył się w Polsce wielką popularnością, był też w miarę poprawny i bezpieczny z punktu widzenia komunistycznych cenzorów. Ale to był film wyjątkowy, wszechstronny i w nim jakby więcej. Więcej przygody, więcej akcji, więcej dramatu, a nade wszystko więcej bohaterów. Dlatego jako nastolatekowi udało mi się obejrzeć oryginalną historię, czyli „Siedmiu samurajów”, którzy zachwylił mnie również mocno.

Pierwszy film, który pamiętam - mogłem mieć wtedy ze 4 lata - to jeden z tych dwóch.

„**Ostatni brzeg**” - przejmująca historia ludzi po globalnej zagładzie termojądrowej, którzy w Australii - ostatnim nieskażonym miejscu na Ziemi, czekają na nadejście opadu radioaktywnego. Niewiele z niego rozumiałem, ale świat całkiem odmienny od Polski Ludowej, żołnierze, okręt podwodny i szalone wyścigi samochodowe zostały we mnie.

„**Człowiek zwany koniem**” z niezwykłą kreacją Richarda Harrisa był na pewnym poziomie po prostu filmem o Indianach. Indianie natomiast byli wtedy częścią naszego legendarium również bardzo, jak czołgiści i podwójni agenci Abwehry. A jednak biały niewolnik dzielnego plemienia, który zastrzył sobie na bycie wojownikiem i przeszedł straszne, dosadnie pokazane próby męstwa był kimś, kto wybijał się ponad przeciętność.

Ludzie w nietypowych sytuacjach, wyrastający ponad przeciętność.